

Doc. dr Józef Burszta

O WIELKOPOLSKI



Na bramie wejściowej muzeum kultury ludowej w Sztokholmie widnieje napis: „Gdybyśmy zgromadzili wszystkie bogactwa ziemi, to nie kupimy za nie minionej bezpowrotnie przeszłości.”

W 1891 r. Artur Hazelius ustawił na niewielkiej przestrzeni 1/4 ha, tuż pod Sztokholmem — przeniesione z różnych części kraju zabytkowe już wówczas chaty wraz z całym ich ludowym wyposażeniem i typowym otoczeniem. Tak powstało pierwsze na świecie muzeum skansenowskie, które dzisiaj obejmuje ok. 30 ha przestrzeni i skupia ponad 150 budowli różnego rodzaju.

W ślad za tym pierwszym muzeum szybko powstawały inne. Ogółem w szwedzkich muzeach skansenowskich zachowano ponad 4000 zabytkowych egzemplarzy budownictwa ludowego, dzięki czemu społeczeństwo ma możliwość oglądania dawnego, nie istniejącego już dzisiaj oblicza wsi.

Nie istniejącego? Nie jest to ściśle powiedziane. Właśnie ta muzealna wieś żyje! Mieszkają w niej ludzie, ubierają się po dawnemu i — co więcej — pracują i żyją tak, jak ich przodkowie. Dla nowoczesnego przedstawienia pełni dawnej kultury ludowej zachowano nie tylko dawne domy, stodoły, chlewy, sprzęty, narzędzia, urządzenia wnętrz itp., ale niejako „zakonserwowano” dawne życie gospodarcze i społeczne wsi, a przynajmniej niektóre strony tego życia.

Idea tworzenia skansenów zdobywała szybko świat. Wpierw podbiła kraje skandynawskie. Muzea takie posiada Norwegia (najważniejsze w Bygdy pod Oslo i w Lillehammer), Dania (znane powszechnie Sorgenfri pod Kopenhagą i „Stare Miasto” — den gamle By — w Aarhus), ma kilka takich muzeów także Finlandia, a nawet Islandia. Skanseny powstały i nadal powstają w innych krajach Europy — w Niemczech, Francji, Anglii, w sąsiedniej Czechosłowacji.

W Polsce idea skansenów zdobyła sobie również prawo bytu, choć powoli. We wsi Wdzydze na Kaszubach zabezpieczono na miejscu zabytkowe zagrody chłopskie. W Olsztynku można podziwiać stare chałupy mazurskie. Istnieje poza tym kilka projektów w różnym stadium realizacji np. projekt stworzenia z ulicy Kościeliskiej w Zakopanem zabytkowego osiedla; Muzeum Etnograficzne w Krakowie przystąpiło przed paru laty do realizacji takiego osiedla w Woli Justowskiej pod Krakowem.

Czy u nas, w Wielkopolsce, są szanse utworzenia regionalnego skansenów?

Sytuacja na naszym terenie jest szczególna. Poznańskie — podobnie jak Pomorze — ma stosunkowo bardzo mało takich zabytkowych chałup, nie mówiąc o zabudowaniach gospodarczych czy przemysło-

SKANSEN



wych w rodzaju dawnych kuźnic, smolarni czy młynów wodnych. Posiadamy natomiast pewną ilość bardzo pięknych zabytków, gdzie indziej rzadko lub wcale nie spotykanych — a przynajmniej nie tak wartościowych architektonicznie — mianowicie dawne, zazwyczaj jeszcze XVIII-wieczne chałupy podcieniowe.

Są to naprawdę już nieliczne ślady dawnego, szeroko rozpowszechnionego w Wielkopolsce i na Pomorzu sposobu budownictwa chałup wiejskich i małomiasteczkowych. Obok nich można znaleźć tu i tam egzemplarze innego typu budownictwa ludowego z XVIII wieku (szczególnie w południowych i wschodnich powiatach Poznańskiego). Są to „ostatni Mohikanie”. Każdego roku liczb tych prawdziwych śladów „minionej niepowrotnie przeszłości” — gwałtownie maleje. Istnieje realna groźba, że za lat kilka znikną mogą zupełnie, a wówczas „nie odkupi się ich za wszystkie bogactwa ziemi.”

Urząd Konserwatora przy WRN w Poznaniu prowadzi usilną akcję mającą na celu

Na zdjęciu u góry: chałupa podcieniowa w Sokotowie Budzyskim (pow. Żelazny), niżej — wiatrak typu hollenberskiego, Kleczew — powiat Konin.

Fot. autora

zabezpieczanie tych zabytków kultury ludowej; rejestruje je, przeprowadza ich dokumentację i zabezpiecza na miejscu. Ostatnio skład Rady Konserwatorskiej został rozszerzony o stałą Komisję Etnograficzną, złożoną z pracowników Katedry Etnografii UAM celem wzmocnienia wysiłków nad ochroną zabytkowego budownictwa wiejskiego.

Chodzi jednak nie tylko o zabezpieczenie zabytków, ale również o udostępnienie ich publiczności, co obecnie — z powodu rozsiania po dużym terenie — nie jest praktycznie możliwe. Chodziłoby zatem o to, aby z całej Wielkopolski zebrać najbardziej wartościowe zabytki budownictwa ludowego, przenieść je na jedno wybrane miejsce i stworzyć w pełnym znaczeniu wielkopolski skansen. Właśnie wielkopolski, gdzie ślady tradycyjnej kultury są już tak nieliczne i tak szybko giną.

Z pewnością warto się nad tym problemem zastanowić. Na muzeum skansenowskie można by wybrać odpowiednie miejsce niedaleko Poznania — w Wielkopolskim Parku Narodowym. Goście zwiedzający Poznań (MTP!) mogliby dojechać tam bez trudu. Natomiast dla młodzieży szkolnej muzeum takie byłoby wspaniałą okazją uzupełnienia nauki o naszej przeszłości.

Postulat „sztuka dla sztuki” jest charakterystyczny dla kultur starych, już trochę zmęczonych. W czasie kulturalnego przedwiośnia twórczość artystyczna skierowana była na religię lub socjalne cele. Gdy praartysta ozdobił ceramikę, to miało to na celu wyróżnić zdobiony przedmiot z masy innych, dlatego, że został oddany w służbę bogom, albo wskazać, że jego właściciel stoi wśród swych współczesnych na wyższym szczeblu socjalnej drabiny.

Twórca ówczesnych czasów nie dysponował jeszcze dostatecznym zasobem wyrażań artystycznych, toteż prymitywna kreska czy odpowiedni kolor pełniły przede wszystkim funkcję symbolu. I tak zamiast wizerunku „Boga Deszczu” stawała artysta falowaną linię, przypominającą wzburzoną wodę. Demona śmierci utożsamia koło, do którego on nie może się wedrzeć. Takich przykładów można by mnożyć więcej. W takim stanie rzeczy wyraz artystyczny każdej kultury jest powszechnie zrozumiałym. „Odtworzenie” Demona Śmierci (by pozostać przy tym przykładzie) w małym tylko stopniu zależne jest od

NOWOCZESNOŚĆ sprzed 4 tysięcy lat

Reprodukowane tutaj dzieła wyglądają tak, jak by przedwcześniej opuszczały pracownię współczesnego artysty. A jednak liczą sobie już 4 tysiące lat! Czyżby więc współczesna plastyka i rzeźba wracała do tego punktu, od którego zaczynała swój rozwój? Na to pytanie niełatwo odpowiedzieć. W każdym bądź razie u źródeł niektórych prób nowoczesnej rzeźby XX wieku widać chęć uzyskania podobnego wrażenia u odbiorcy, jakie było celem praartysty, a mianowicie do pokazania świata w sposób najbardziej „skondensowany”, do oddziaływania poprzez symbol. Różnica jest ta, że prymitywny artysta nie potrafił tworzyć inaczej, natomiast współczesni świadomie „kondensują” wyraz swych dzieł. Zdjęcia jak również ciekawy artykuł na ten temat (poniżej), zaczerpnęliśmy z czasopisma szwajcarskiego „Sie und Er”. U góry: „kobieta”, obok: „głowa”.

zdolności artysty, natomiast jest powszechnie rozumiane.

Praartysta tworząc początki kultury, szukał prostoty, wielkości i siły symbolu. A ponieważ wewnątrz przesłanki są wspólne pramistrzom sztuki, toteż dzieła prymitywnych narodów są do siebie bardzo podobne. Pozostałości początków kultury śródziemnomorskiej, która się później tak wspaniale rozwinęła, są uderzająco podobne do nietkniętej europejskimi wpływami plastyki murzyńskiej lub narodów wczesno amerykańskich. Jest im wspólna dążność do ab-

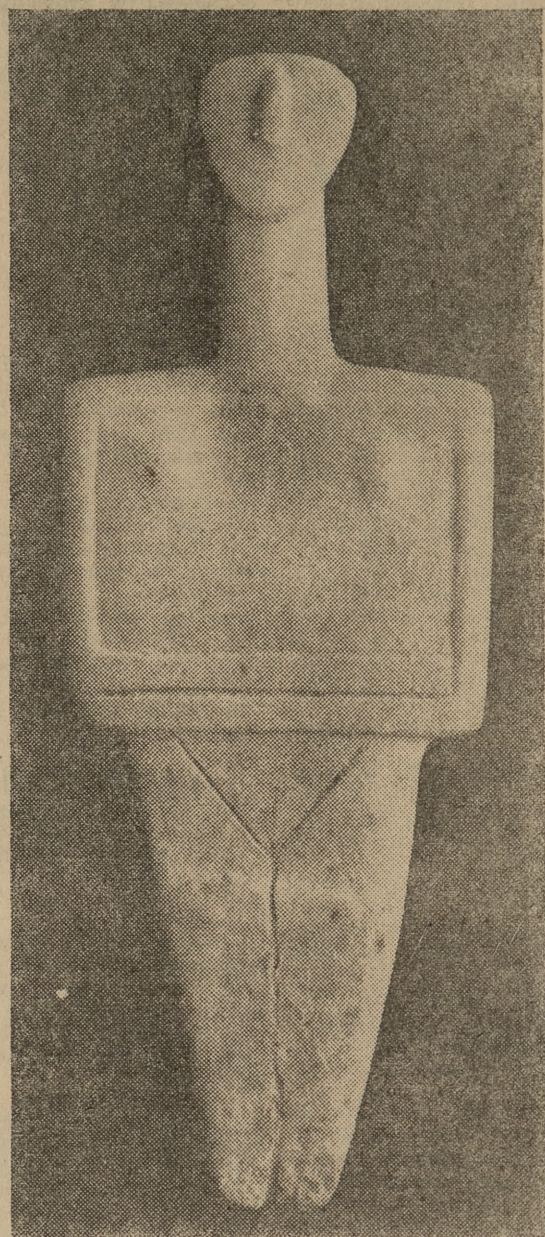
strakcji, której celem jest symbolika obrazu.

Doskonalenie się wierzeń, obyczajów, socjalnego układu oraz powstanie tradycji — rozluźnia prymityw sztuki, czyniąc ją lżejszą i precyzyjniejszą. W kole zaznaczają się pierwsze ślady, z czasem dochodzą indywidualnie akcentowane rysy, z czego ostatecznie wykluwa się ściśle określona podobizna głowy, która nie wiele ma wspólnego z absolutną symboliką. Radość z powodu uzyskania naturalnego odbicia rzeczywistości pokazuje pierwotną dążność do pokazywania magicznego znaku.

Czy nasze czasy zapowiadają nowe artystyczne dążenia? W każdym bądź razie nasi artyści tęsknią do tego, by znaleźć jakiś wspólny „prajęzyk”. Dążność dzisiejszej twórczości artystycznej odzwierciedlają prądy, na które, wskazywałyby dzieła powstałe na wyspach Cykladach 4000 lat temu.

Nasuwa się jednak pytanie czy nasi twórcy nie znajdują olbrzymiej różnicy między ówczesnym, a obecnym stopniem rozwoju społeczeństwa, różnicy w obyczajach i znaczenia tradycji? Może przedwiośnie ery atomowej i podróży kosmicznych stawia ich na takim dystansie wobec tego, co było?

Opr. (eki)



Ryszard Danecki

Wróble

Brązowy pień drzewa — armatnia lufa,
stado wróbli — wystrzelone kartacze,
wracają — choć pocisk nigdy nie wraca —
wracają, ówierkają koło ucha —
wspomnienia wojny...

Echo

Dla ciebie tylko te strofy,
dla ciebie pokryte kurzem
kantat kręte korytarze
odnalezioną tęsknotę
otwieram skrzypcowym kluczem —
muzyczne muzea marzeń...

Dla ciebie tylko te strofy,
dla ciebie — i więcej nikogo
wiersz mój trawiony nostalgiją
za czasem, gdy kluczem skrzypcowym
umiałem zamykać drzwi twógi —
spal go...

Z Sundukiana

Dlatego tylko zwałęliła serce mi —
żeby poczerpnąć swoje baszkie brwi.



Na początek — Bałucki i Bliziński

Przeglądając pięknie wydane tomy dzieł Aleksandra Fredry pod redakcją Stanisława Pigonia nie można się oprzeć myśli o nagłej potrzebie objęcia tego rodzaju edycją wszystkich znakomitszych polskich dramatów i komediopisarzy. Narzekamy nieraz na ubóstwo naszego repertuaru narodowego, ograniczającego się właściwie do kilku wybitnych, ale i ograniczonych dzieł polskich roman tyków i pozytywistów — a zapominamy jednocześnie o tym, że w archiwach i bibliotekach żółkna rękopisy i pierwodruki polskich sztuk o dużych walorach ideowych i artystycznych. Chętnie sięgnęlibyśmy po teatry zawodowe, a nieraz i zespoły amatorskie — coż, kiedy nawet uczeni badacze polskiego dramatu i sceny zużywają nieraz wiele wysiłku i czasu, ażeby dotrzeć do tych niesłusznie zapomnianych utworów chociażby Michała Bałuckiego i Józefa Blizińskiego.

Wydanie komedii, zarówno Bałuckiego, jak i Blizińskiego, będzie miało charakter krytyczno-naukowy. Wynika z tego przede wszystkim konieczność ustalenia możliwie jak najbardziej wiernego i zgodnego z intencjami autora tekstu każdej komedii.

Zgodność z intencjami autora nie jest — jakby się wydawało — bynajmniej rzeczą łatwą, ponieważ np. Michał Bałucki zmuszony był niejednokrotnie pod naciskiem dyrektorów i recenzentów teatralnych, a także redaktorów pism, które drukowały jego utwory — zmieniać je, łagodzić, przede wszystkim ostrze satyryczne niektórych komedii o nastawieniu wybitnie krytycznym względem rządzących opinią kręgów społecznych. Zresztą nie tylko z takich względów Bałucki i Bliziński prze-rabiali swoje komedie

czasem, dla uzyskania lepszego — ich zdaniem — efektu artystycznego, rozszerzali je lub skracali. Dlatego przygotowywane wydania zawierać będą na końcu każdego tomu komentarz edytorski, dotyczący się zawartych w nim utworów, a porównujący różnorakie wersje rękopiśmienne, różnice między danymi za życia autora (na których tekst mógł mieć bezpośredni wpływ), jak również zmiany stylistyczne, a w uzasadnionych przypadkach — nawet interpunkcyjne.

Oprócz tego każdy tom obejmie również komentarz teatrolologiczny, który zreferuje przyjęcie każdej sztuki na scenie, odnotuje jej ważniejsze inscenizacje i obsady aktorskie i poinformuje o echa przedstawienia w krytyce teatralnej i prasie. Jak z tego widać, nie będzie to wydanie popularno-naukowe: jego adresatem ma być bowiem przede wszystkim nie widz, lecz badacz literatury i teatrológ, a zwłaszcza reżyser i kierownik literacki teatru. Za to dla popularyzacji twórczości Bałuckiego i Blizińskiego przez teatry edycja ta będzie miała istotne znaczenie.

Warto przy okazji dodać, że Poznań, tak chętnie udzielający gościnę sztukom Bałuckiego i Blizińskiego, na swoich scenach (zwłaszcza przed pierwszą wojną światową i w latach międzywojennych) — posiada również w swoich bibliotekach autografy utworów tych dwóch klasyków polskiego teatru. Szczególnie dotyczy się to Józefa Blizińskiego: w bibliotece Państwowego Teatru Polskiego znajdują się trzy rękopisy („Ojcuzka”, „Męza od biedy” i „Dziki różyczki”), które wyszły niewątpliwie spod pióra autora „Pana Damazego” i jeden („Szacha i mata”), co do którego autentyczności w tym względzie można mieć pewne wątpliwości. Są to jednocześnie egzemplarze reżyserskie i pełno na nich uwag i skreśleń inscenizatorów tych sztuk.

Obecność owych autografów w bibliotece Teatru Polskiego tłumaczy się tym, że Bliziński sprzedawał je zespołom pragnącym wystawić jego komedie, a natomiast jak najdłużej odwlekał termin druku swoich utworów w książce lub czasopiśmie literackim. W XIX wieku nie było bowiem u nas właściwie mowy o ochronie prawa autorskiego dla dramatografów: pisarz, który zdecydował się na druk swojej sztuki, rezygnował za cenę sławy z większości dochodów, które mogłyby mu przyspaść z rąk jej inscenizacji. Dochodzenie swoich praw w czasach, gdy trupy aktorskie i teatry były najczęściej wędrownie, powstawały i znikły z dnia na dzień, zakrawało wręcz na naiwność i utopię.

Zbigniew Pędziński

po grubym warkocz z błękitną kokardą.

— To jego baba — rzekł pierwszy mężczyzna. — Po-dejżmy.

Zbliżyli się uśmiechnięci. — Gdzie jest Harry? — rzucił po niemiecku pierwszy obcokrajowiec.

— Harry? — powtórzyła dziewczyna, wydymając kształtne usta.

— Mniejsza o niego — drugi mężczyzna otworzył teczkę. — Spirytus — rzekł szybko — nie on, to pani kupi, prawda?

— Ile wódka? — spytała. — Dwa litry — pokazali na palcach — gut, sehr gut!

— Ile pani płaci? — spytał jeden z mężczyzn. Szli w kierunku wyjścia.

— Pięćset — rzekła obójtnie.

— Dobra. A Harry? — spytał pierwszy mężczyzna. Wrócił do kraju? — spytał drugi.

— Nie wiem — powiedział cicho, wręczając im pieniądze. — Nic o nim nie wiem. Smukłe palce zacisnęła na szyję butelki. Warkocz chwiał się na plecach jak wahadło zegara: tik-tak, tik-tak.

— Wyjechał na zachód? — spytał pierwszy mężczyzna. — Na ten lepszy zachód? — spytał drugi.

Zachód? — zachnęła się dziewczyna — albo to ja wiem. W życiu — powiedziała po namyśle może być tak, owak lub jeszcze inaczej. Wszystko zależy z jakiej strony się to ogląda. Ja to widzę całkiem przyjemnie — zaśmiała się nieszczerze. W jej oczach mignął jakiś ogień — każda z nas jest w takiej chwili przyjemna i głupia... — rzekła z pasją.

— Więc co się stało z pani chłopcem? — spytał jeden z nich.

— Nie wiem — powiedziała dziewczyna.

— A ile pani tego potrzeba? — rzucił pierwszy, zamieniając spojrzenie ze swym kolegą. — Tysiąc litrów, dwa tysiące, sto tysięcy?

— Niks wiel — powiedziała, odchodząc od nich.

Zatrzymali się i patrzyli, co będzie. Wprawnym ruchem dłoni wybiła korek z butelki i odrzuciwszy głowę do tyłu pociągnęła potężny łyk przezroczystego płynu.

Zachłysnęła się strasznie, oczy wyszły na wierzch a twarzyczka zsiniała, stała się trupia. Dziewczyna nabrała po wietrze, opanowała się.

I znowu jej wargi przystroili do szkła. Ciecz bulgotała w gardle, wylewała się z ust, spływając po brodzie i obcisłym sweterku. Warkocz z błękitną kokardą drgał konwulsyjnie.

Mężczyźni zneruchomieli, chcieli krzyknąć, biec do telefonu, ratować. Coś ich wstrzymało. Może to, że im przecież zapłaciła.

— Czekamy jeszcze? — spytała dziewczyna.

— Ich przedstawiciel zaraz powinien tu być — rzekł Harry. Jakoż w drzwiach hotelu ukazał się jeden z turystów w berecie z teczką w ręce.

— To on — szepnął Harry, ciągnąc dziewczynę za warkocz.

— A może posiada pan spirytus? — spytał po polsku Harry.

— Butelczynę. Każdy z nas przywiózł ciwarkę — powiedział turysta.

— Spodziewałem się więcej — skrzywił się Harry. Podobny grymas uczyniła dziewczyna. Zarzuciła warkocz na plecy.

— Razem dziesięć litrów — rzekł turysta — gdzie to ma nastąpić? — spytał Harry'ego.

— Przecież tutaj to jest niemożliwe — odrzekł, oglądając się na policjantów.

— W bramie domu na Friedhofstrasse 7 — rzekł Harry — podjedźmy tam takśówką.

— Dobra. Chałupę pan sobie postawi — zażartował turysta.

— Domek z kart — Harry spojnął czule na dziewczynę.

— Nie rozumiem.

— Pasporty — rzekł poważnie Harry, obejmując swą towarzyszkę. — Dwa pasporty.

— Dokąd?

— Tam — wskazał ręką Harry — zachód...

— Tutaj wam źle?

— Jak pan tam pojedzie — powiedział Harry — to pan zobaczy, że tutaj nie jest nadzwyczajnie.

— Może innym razem — rzekł ostrożnie turysta. — Ile wam tego potrzeba? — zaciekawiał się.

— Dwa tysiące litrów — powiedział Harry. Dziewczyna uśmiechnęła się i oparła głowę na jego ramieniu. Miała duży biust i filigranowe ręce. Na jednym z palców lśnił pierścionek z szafirowym kamieniem.

Znowu minęło kilka miesięcy. Znowu jesteśmy na peronie znajomego, oszklonego dworca. Znowu nadjechał międzynarodowy ekspres i niezwłocznie powstało małe tradycyjne zamieszanie. Z pociągu wysiadło dwóch mężczyzn z teczkami. Rozmawiali z sobą po polsku. Dreptali w miejscu jak ludzie zagubieni nocą w lesie. Najwyraźniej kogoś szukali. Wreszcie w grupie bagażowych ujrżeli dziewczynę ubraną w obcisły sweter i sandały. Poznali ją

— Wodę życia i śmierci — Czesław Michniak

Minęło kilka miesięcy. W tym samym wielkim mieście nad rzeką, w cieniu gotyckiego kościoła wznosił się hotel „International”. Właśnie zatrzymał się tutaj duży, błękitny autokar z przeźroczystym dachem. Z samochodu wysypało się czterdziestu turystów, niektórzy z dziećmi. Nie brakowało również starszych kobiet w spodniach z psami na smyczy. Wydarzenie, o którym mowa, nie wywołało specjalnego zainteresowania wśród przechodniów, policjantów i portiera hotelowego w czapce operetkowego generała. Wyjątkiem był Harry i dziewczyna w obcisłym sweterku i sandałach, uwieszona na jego ramieniu. Gruby, ciemny warkocz zakrywał jej ucho i część twarzy.

Oboje obserwowali turystów, króć ich marynarek i spodni, objętość teczek i walizek. Przybysze zdążyli już zniknąć w hotelu, towarzyszył im portier i jakiś mężczyzna w smokingu.

W odległości 20 km od Pniewnika leży wioska Drgyca. Sta nowi ona zwartą całość ze Stoczkiem — miasteczkiem znanym nam dobrze z historii. Tu właśnie, w małym domku, otoczonym ogrodem, zamieszkuje żona poety wraz z dziećmi.

Kiedy po przywitaniu się z panią Szymańską wspominam, jak to były ZWM-owce, że słowa na szel pieśń, że pamięć Edwarda Szymańskiego jest nam droga — żona poety uśmiecha się serdecznie i rozmowa toczy się, jak wśród starych znajomych.

— Ludziśmy się, że Pniewnik, oddalony 20 kilometrów od nas, niezamieszkały przez żadne władze niemieckie — daje ręką widać względnego bezpieczeństwa. Poza tym mężowi zawsze wydawało się, że nie ma żadnych osobistych wrogów. Czuł się więc tam bezpiecznie. Tymczasem okazało się inaczej.

— Proszę pani — wtrącam. — Kto pisze rewolucyjne wiersze — mając przyjaciół, musi mieć również i wrogów.

Czesław BIAŁAS

Pociąg międzynarodowy przyjeżdżał do X, w samym południe. Zwykle na peronie oczekiwała grupa kilkunastu bagażowych w czarnych fartuchach. Tak było i tego dnia w czerwcu. Okrągłe medale z numerkami błyskały w smugach słonecznych, przedzierających się przez poplamione sadzą szkło nad dworcem. „Wysiąść, wszyscy wysiąść!” wołał konduktor, biegnąc tam i na powrót wzdłuż pociągu. Zrobił się mały, tradycyjny rwetes.

O kiosk z gazetami opierał się mężczyzna w wiatrówce. Stał nieruchomo jak woskowa figura, przemijając beznamietnym choć uważnym wzrokiem po twarzach ludzi, którzy w pośpiechu opuszczali wagony. Jego chłodne oczy przenosiły się z ubrania na ubranie, oceniali kształt i rozmiary walizek przybyszów zza granicy. Zanotował w pamięci dwóch mężczyzn. Podeszedł do nich i spytał cicho po polsku:

— A może posiadacie panowie spirytus?

Sporzegli po sobie, przystanęli.

— Ile pan płaci? — rzucił w tym samym języku jeden z przybyłych.

— Pięćset — powiedział Harry.

— Pan pozwoli, że się naradzę — rzekł pierwszy mężczyzna.

Szeptali chwilę nachyleni ku sobie jak koguty, szukające się do walki.

— Zgoda — powiedział drugi z nich.

— Doskonale, w takim razie chodźmy — rzekł Harry.

— Daleko stąd? — spytał pierwszy mężczyzna.

— W dobre, bezpieczne miejsce — rzekł Harry, prowadząc ich na nieruchliwy piaty peron.

Obcokrajowcy wydobyli z teczek dwie butelki owinięte w cienki papier.

— Tylko tyle? — skrzywił się Harry.

— A ile by pan chciał, cysterne? — roześmiał się pierwszy mężczyzna.

Harry wybił korek, ze skupieniem powąchał.

— Czysty spirytus — rzekł drugi mężczyzna.

— Niech będzie — powiedział Harry wręczając banknoty. Drugi mężczyzna nie licząc ich wsunął pieniądze do kieszeni piaseczka.

Harry zbliżył się do kiosku z gazetami.

— Woda — powiedział do kogoś w okienku — świeża, zimna woda...

— Dziękuję — rzekł niewidzialny sprzedawca gazet i oranżady — woda życia, jak mówią Francuzi, co?

— Właśnie — zgodził się Harry. — Odprowadź panów — zwrócił się do obcokrajowców, którzy nie spuszczały zeń wzroku. Był w nim podziw i uwielbienie.

Melodia ZWM-owskiej pieśni bojowej, znana była w okresie międzywojennym. Słów do tej melodii uczyła się młodzież z chwilą powstania ZWM i masowego napływu doń młodych.

Zdobyczym krokiem idziemy w słoneczny świat, Wznosząc do góry i czoło i pięść...

Autorem pieśni był Edward Szymański. Jego nazwiskiem w okresie międzywojennym podpisywane były wiersze rewolucyjne, zamieszczone w robotniczej prasie. — Z przedmowy, napisanej przez Wandę Grodzką, do wydanego w Polsce Ludowej zbioru wierszy Edwarda Szymańskiego pt. „Przyjaciele”, zapoznałem się z tragicznymi dziejami poety w okresie okupacji. Kierując się głębokim sentymentem do autora pieśni, która nam, ZWM-owcom towarzyszyła w walce i pracy, postanowiłem odwiedzić miejsca, związane z ostatnimi dniami wolności poety przed jego aresztowaniem przez gestapo i wywiezieniem do Oświęcimia.

Na skraju Mazowsza i Podlasia leży wioska Pniewnik, gdzie w czasie okupacji ukrywał się Edward Szymański. Mieszkał u swego kolegi — Gutka Gronka, obecnie zamieszkałego w Gdańsku. W Pniewniku żyje teściowa Gronka — Skarżyńska. Od niej to dowiedziałem się kilku szczegółów z ostatnich tygodni życia poety.

— To był bardzo dobry czło-

WIERSE, GRUSZA i KONTUSZE

wiek, proszę pana. I pracowity. Ukrywał się uprządkie, ale nie próżnował. Udzielał lek cji dzieciom. A jak malował! Jak pięknie umiał opowiadać! Żył z nim, jak z rodzynem.

W odległości 20 km od Pniewnika leży wioska Drgyca. Sta nowi ona zwartą całość ze Stoczkiem — miasteczkiem znanym nam dobrze z historii. Tu właśnie, w małym domku, otoczonym ogrodem, zamieszkuje żona poety wraz z dziećmi.

Kiedy po przywitaniu się z panią Szymańską wspominam, jak to były ZWM-owce, że słowa na szel pieśń, że pamięć Edwarda Szymańskiego jest nam droga — żona poety uśmiecha się serdecznie i rozmowa toczy się, jak wśród starych znajomych.

— Ludziśmy się, że Pniewnik, oddalony 20 kilometrów od nas, niezamieszkały przez żadne władze niemieckie — daje ręką widać względnego bezpieczeństwa. Poza tym mężowi zawsze wydawało się, że nie ma żadnych osobistych wrogów. Czuł się więc tam bezpiecznie. Tymczasem okazało się inaczej.

— Proszę pani — wtrącam. — Kto pisze rewolucyjne wiersze — mając przyjaciół, musi mieć również i wrogów.

Czesław BIAŁAS

Trzeba być naprawdę entuzjastą nowoczesnej sztuki, by fotografować się z taką oto rzeźbą kobiety... Na wystawie „Sztuka USA 1958” wśród ponad 1500 obrazów i rzeźb znaleźć można rozmaite style od prawie fotograficznego naturalizmu aż po abstrakcyjny ekspresjonizm.

Fot. — CAF



KARIERA ANTYBIOTYKÓW

DRZEWĄ ZAŻYWAJA LEKARSTWA

Jeszcze w końcu ub. wieku stwierdzono, że niektóre choroby roślin można leczyć tak samo jak się leczy człowieka — przez wprowadzanie leków, które przenikając do tkanek niszczą pasożytnicze mikroby.

Jak się okazało substancjami doskonale nadającymi się do tego celu są m. in. niektóre antybiotyki. Np. znana nam penicylina i streptomycyna przenikają do roślin przez system koronny niezwykle szybko.

Sposoby wprowadzania antybiotyków do roślin są bardzo proste. Jednym z nich jest opryskiwanie liści roztworem antybiotyku, drugim — stosowanie głównie przy owocujących drzewach — bezpośrednie wprowadzanie roztworu antybiotyku do pnia. Robi się to w ten sposób, że do wywierconego w drzewie otworu wkłada się specjalny lont, którego koniec zanurza się w naczyniu z roztworem. Drzewo niejako ssie lekarstwo, które wraz z sokami pobieranymi przez korzenie wędruje do wszystkich tkanek.

Dobre wyniki daje również spryskiwanie przechowywanych pomarańczy i cytryn, które bardzo często są napastowane przez pasożyty podczas składowania. Objawem tej napadki są brązowe plamy na owocach. Jeśli nawet chore owoce zanurzymy w roztworze antybiotyku — szybko zdrowieją.

KURY TAKŻE LUBIĄ PENICYLINĘ

Bardzo ciekawe obserwacje poczyniono jeszcze w r. 1946 pod czas leczenia streptomycyną psów. Wracały one nie tylko do zdrowia (oczywiście tylko przy pewnych chorobach), ale przybierały na wadze znacznie szybciej niż inne.

Ten pozytywny wpływ został obecnie wykorzystany w gospodarstwie hodowlanym. Takie „uzupełnianie” karmy zwierząt i drobiu jest niezwykle korzystne pod względem ekonomicznym, ponieważ dodatek antybiotyku jest znikomo mały (np. przy tuczeniu kurcząt dodaje się 2 g antybiotyku na całą torę karmy). Tym bardziej, że do dokarmiania zwierząt nie potrzeba używać antybiotyków czystych, a wysoka cena antybiotyków stosowanych w lecznictwie jest spowodowana właśnie trudnym oczyszczaniem leku.

Dziś 1/3 produkcji antybiotyków w USA przeznaczona jest na dodatki do pasz. Tę metodę tuczenia stosuje się również bardzo szeroko w Anglii i Australii. Dodatkowy przyrost wagi tuczonych zwierząt jest znaczny: w przypadku psów wynosi przeciętnie 10—15 procent, drobiu — od 15—20 proc.

Antybiotyki okazały się również cenne przy hodowli zwierząt futerkowych. Waga nowo narodzonych norek przy dokarmianiu antybio-

Minęło już ponad 15 lat od chwili, kiedy otrzymano i zastosowano w lecznictwie pierwszy antybiotyk — penicylinę. Ten z pozoru niegodny uwagi biały proszek przeżył w krótkim czasie triumfalną drogę i słusznie został nazwany królem antybiotyków.

Zastosowanie penicyliny uratowało setki tysięcy ludzi. Gwałtownie został skrócony również czas leczenia wielu ciężkich chorób.

Nauka ta rozwija się niezwykle szybko. W ostatnim dziesięcioleciu z bakterii, grzybków, wyższych roślin i tkanek zwierzęcych otrzymano w laboratoriach badawczych około 3500 różnych antybiotyków. Część ich (około 20) weszła do praktyki lekarskiej i jest stosowana do skutecznego walki z ponad 100 chorobami zakaźnymi.

tykami wzrasta o 38 proc. w porównaniu z normalnie żywionymi matkami, a zazwyczaj duża śmiertelność małych spada niemal do zera.

COŚ DLA GOSPODYN DOMOWYCH

Utrapieniem gospodyni w ciepłe dni jest szybkie psucie się produktów żywnościowych oraz kwaśnienie mleka.

Jak wiadomo w większości wypadków produkty psują się dlatego, że rozwijają się w nich mikroorganizmy powodujące gnicie lub fermentację. Procesy te można zahamować przez suszenie produktów, mrożenie lub na odwrót działanie wysokiej temperatury. Ogrzewanie powoduje zniszczenie bakterii, dzięki czemu znalazło zastosowanie w konserwowaniu żywności. Jednakże długotrwałe działanie wysokiej tempe-

ratury obniża jakość produktów. Przemysł spożywczy posługuje się pewnymi substancjami chemicznymi, które mają zdolność zabijania bakterii. Substancje te jednakże są w większym lub mniejszym stopniu szkodliwe dla człowieka.

Otóż i tu przyszły z pomocą antybiotyki. Np. mały dodatek penicyliny do mleka, chroni je przed skwaśnieniem przez 16 godzin. Jak się okazało, antybiotyki oddziałują na wiele silniej niż środki chemiczne na bakterie gnilne, i to w ilościach tak małych, że absolutnie nie szkodzą człowiekowi.

Za granicą stosuje się obecnie bardzo szeroko chloromycetynę, aureomycynę i inne antybiotyki do konserwacji mięsa, drobiu i świeżych ryb.

Problem konserwacji produktów żywnościowych nie jest jednakże całkiem prosty. Wiadomo od dawna, że bakterie tak jak i wszystkie inne organizmy, pod wpływem zmieniających się warunków same zmieniają się i przystosowują. U ludzi leczących się antybiotykami wytwarza się uodpornienie na antybiotyki, wskutek czego dalsze leczenie staje się niemożliwe — antybiotyk przestaje działać. Jasne, że również szerokie zastosowanie jakiegokolwiek antybiotyku do konserwowania może doprowadzić do tego, że liczne bakterie, w tej liczbie i chorobotwórcze mogą się uodpornić przez co antybiotyk straci swoją wartość leczniczą. Toteż próbuje się stosować w konserwowaniu takie antybiotyki, które nie są używane w medycynie.

Jak więc widać, antybiotyki zrobiły również karierę nie tylko w lecznictwie. Nic dziwnego, że uchodzą one za jedną z największych zdobyczy nowoczesnej nauki przyrodniczej. M. Z.



W Puiten (Danii) zdarzył się niecodzienny wypadek. W młodszej szpitalu dokonano operacji 4-letniej J. Haabschoten przy pomocy igły radiowej. Dopiero po wyjściu pacjentki ze szpitala zauważono brak radioaktywnej igły. Gorączkowe poszukiwania (w ochronnych skafandrach) uwięzione zostały powodzeniem: niebezpieczny przedmiot znaleziono... w ogródku, obok domu, w którym mieszkała pacjentka. Oczywiście — mieszkańcy domu oraz ich sąsiedzi zostali poddani izolacji i specjalnym badaniom. Fot.: „Associated Press“

NAGRODA KALINGA za rok 1957 została przyznana przez UNESCO znanemu filozofowi angielskiemu, Bertrandowi Russellowi. Kalinga jest nazwą fundacji w Indiach, która co roku udziela nagród za popularyzację wiedzy i za wkład w zbliżenie naukowe między Indiami a innymi krajami. Wśród poprzedników Bertranda Russella znajduje się wybitny matematyk francuski Louis de Broglie i dr Julian Huxley. (ms)

RUCIOCIAG WĘGLOWY zastosowano w USA z kopalni Eastlake do elektrowni Cleveland Electric Co. Węgiel przesuwają się z szybkością 8,5 km na godzinę — ruciociągami o średnicy 254 mm. Cała instalacja ma ponad 200 km. (k)

„ESTRON” — to nazwa nowego sztucznego włókna, przygotowanego przez Jeleniogórskie Zakłady Celulozowe i Włókn Sztucznych. Jest to włókno poliestrowe podobne do wełny. Odnacza się znacznie większą wytrzymałością niż stylon, jest również cieplejsze, a tkanina z niego nie gniecie się. (zap)

Nowości z kraju i ze świata

RUCH PASAŻERSKI na liniach lotniczych wzrasta średnio o 16 proc. rocznie. Obliczono już, że w roku 1970 samoloty pasażerskie przewiożą około 280 milionów pasażerów — a powietrzna flota pasażerska otrzyma 5.900 nowych samolotów turbośmigłowych i turbodrzutowych. (k)

PÓŁTORA MILIONA dolarów żąda amerykańskie władze podatkowe od Charlie Chaplina z tytułu jego dochodów w latach 1953 i 1954. Chaplin od r. 1952 mieszka w Szwajcarii. (u)

CIEKAWE WYNIKI ankiety, zorganizowanej przez uniwersytet w Yale, podaje prasa kanadyjska. 300 studentów tej uczelni odpowiedziało na pytanie: „Co wiesz o Ryszardzie Wagnerze i Giuseppe Verdim?”. Na pierwsze pytanie 40 odpowiedzi było trafnych. Reszta widziała w Wagnerze żyjącego w nędzy aktora filmowego, jednego z burmistrzów New Yorku, autora romansów pornograficznych, ewtl. cowboya, który został senatorem. Verdi miał więcej szczęścia (60 odpowiedzi trafnych). A oto nie które z dalszych odpowiedzi: Verdi „jest” włoskim humorystą, politykiem hiszpańskim, autorem ustawy przeciwko zadrzotom męzom, a nawet... aktorką (!) francuską... (u)

WŁÓKNO ODPORNE NA 2.800°C, które znalazło zastosowanie m. in. w samolotach odrzutowych i pociskach rakietowych, wyprodukował przemysł angielski. Włókno wytwarza się z wysoko topliwych tlenków, minerałów lub ich mieszaniny. Masę plastyczną wyściśka się w postaci rur i prętów, następnie suszy, spieka i topi na szkło, a z niego wydmuchuje się masę włóknistą za pomocą sprężonego powietrza lub pary. (k)



WIELKA SZTUKA PANTOMIMY

Występy Wrocławskiego Teatru Pantomimy pod dyr. Henryka Tomaszewskiego w Poznaniu skierowały nasze zainteresowania ku jednej z najstarszych, a zarazem najbardziej uprawianych sztuk, jakie zna ludzkość. Słusznie uważa w swych „Réflexions sur le théâtre” — Barrault, iż „Istnieje zasadnicza różnica między starą pantomimą a pantomimą nowoczesną. Pantomima stara była sztuką niemą. Mówiła nowoczesna jest sztuką milczącą”. Przecież popularny Chaplin również sięgał w okresie filmu niemego do pantomimy, wzbogacając tradycję czystego mimu.

Pantomima sceniczna, operująca wymową gestu, ma — według zhellizowanego Syryjczyka, żyjącego w II w. po Chrystusie, Lukiana z Somasy ty, który napisał słynny „Dialog o tańcu” — nawet wyższość nad tragedią i komedią. Łączy bowiem w sobie: „radość życia i pożytek nauki, rozrywkę i zalety fizyczne i duchowe”. Podobno Eros gwiazdy wrytm tańca poruszył, a „wal-



cząc z tańcem, z bogami walczysz” — mówi Lykinos, entuzjasta tańca w swym dialogu z Kratonem — wrogiem tańców. Pantomima ma być podobnie, jak taniec, dramatem, obrazem życia, każdy ruch ma wyrastać z akcji. Pantomima, to synteza: muzyki, poezji, malarstwa i rzeźby, a pantomimik, to artysta wszechstronny i o wszechstronnej kulturze. Sam wielki J. G. Noverre — sławny reformator tańca i baletmistrz francuski z XVIII w., był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, a swą sztukę baletową wzorował na grze sławnego aktora angielskiego — Garricka, z którym się przyjaźnił.

„Chcę tu jeszcze wspomnieć o tym, co powiedział inny cudzoziemiec o tej sztuce — pisze Lukian z Somosaty. — Widząc pięć masek, przygotowanych dla tancerza — bo akcja dramatyczna miała pięć części — a zobaczywszy tylko jednego tancerza, zapamiętał się ów cudzoziemiec, gdzie są inni aktorzy, mający tańczyć i o-

degrać pozostałe role? A gdy dowiedział się, że ten jeden aktor będzie grał i tańczył, jako wykonawca wszystkich pięciu ról, zawołał: „Przyjacielem, nie przypuszczam, że masz jedno ciało, a dusz kilka”.

Nie bez słuszności nazywają w Italii tancerza „pantomimikiem” (wszystko naśladowającym), czym określać dość wiernie to, co się dzieje (na scenie).

Tak więc, ku naszemu zdumieniu, w jednym i tym samym dniu staje przed nami i szalejący Athas mas, i przerażona Ino, to znowu Atreus, a zaraz potem Thyestes i znowu Aigistos czy Aerope; a przecież te wszystkie postacie, to jeden i ten sam człowiek.

Na zachowanych wazach, reliefach i innych wykopaliskach Grecji, Rzymu itd. znalazło oryginalne rysunki i malowidła, przedstawiające tancerzy i właśnie pantomimików, którzy na scenie wyrażali ruchem i gestem właśnie fragmenty, a nawet całe teksty wielkich tragików greckich.

Tradycja całej klasycznej pantomimy włoskiej i francuskiej, posiadającej tyle znakomitych kart — sięga właśnie do tych prądów. Tematy jasełkowe odbijają się, jak w zwierciadle, w starych pantomimach ludowych, pełnych surowego piękna i lirycznego nastroju.

Pantomima przez długie wieki była jednym z pomocniczych elementów widowisk teatralnych, cyrkowych i baletowych — wielce jednak zależnym od słowa. Pierwszym, który je wyeliminował ostatecznie, był aktor i reżyser francuski — Jean Gérard Baptiste Debureau, czystej krwi pantomimik, któremu już nie dorównali następcy: Paul Legrand, Felicie Mallet marsylczy z „Cercles Funambulesques”. Godnymi spadkobiercami Debureau zostali — Marel Marceau, który uniezależnił pantomimę od innych sztuk, a Jean Louis Barrault — słynny aktor francuski, ustalił stosunek mimu do sztuki teatralnej.

Obaj wyszli z tej samej szkoły i razem z sobą współpracowali, zanim ich drogi w służbie sztuki nie rozszły się, choć obie zapisały się w historii pantomimy naprawdę złotymi zgłoskami. Marceau w Biele, a Barrault w Bap-tistie stworzyli nieśmiertelne postacie pantomimiczne. Bip powstał w r. 1947, będąc odpowiednikiem współczesnego Pierrota — jako daleki krewny całej rodziny arlekinów, kolombów i podobnej rodziny komediantów. Sztuka, według niego, polega nie na kompozycji ciała, lecz na akcji, której tematem jest byt ludzki z całym dramatyzmem swego istnienia.

W jakim miejscu umieścilibyśmy Henryka Tomaszewskiego i Wrocławski Teatr Pantomimy?

Za wcześnie jeszcze na takie wnioski. W tygłu twórczych poszukiwań eksperymentalnych wykrystalizowuje się profil artystyczny tego ciekawego ze wszech miar zespołu, gdzie kompilacja dobrych wzorów walczy o lepsze ze znalezieniem własnej drogi indywidualnego wyrazu. Szereg obrazów zdaje się jednak potwierdzać przypuszczenie, iż będzie to kierunek bliższy wielkiemu Marceau, niż Barrault. A może po prostu synteza ich obydwu?

Teodor SMIEŁOWSKI



Na rysunkach: taniec spartański (waza dolnofalska muzeum Borbonico), Kordax — taniec komedii (fragment wazy, Corneto, Tarquinia). Na zdjęciu — tańczące kariatydy (marmurowy relief, Villa Albani, Rzym).

Uczmy się kultury za młodo! — radzi Cz. Michniak („Głos” 13 bm.). Ponieważ artykuł jest dyskusyjny, a temat ciekawy, spróbuję „poniegadać się” z autorem. Nie próbuję polemizować z postulatami, zawartymi w tytule. Trudno dyskutować o czymś, co jest oczywiste. Dyskutować można natomiast i trzeba — nad sposobami wyrównywania i podnoszenia kulturalnego poziomu społeczeństwa.

Dla porządku umówmy się, że słowo „kultura” pojmować będziemy w sensie węższym, tak jak proponuje Michniak (społeczne-kulturalne — czyli reagujące na twórczość artystyczną). Zawsze to niebezpieczny problem, wylaczając tak ważne u nas sprawy jak kultura bycia, kultura obywatela itp., które przecież łączą się ściśle i wpływają na poziom kulturalny w podanym wyżej rozumieniu. Ale przecież nie można o wszystkim od razu. Pozostawmy więc te problemy na boku — przy najniższym w dyskusji. (Nie można natomiast zapominać o nich przy tuż upowszechnianiu kultury. Czy bowiem za pożytek z gościnia, który wie kto to jest Gombrowicz czy Leger, a zachowuje się po chamsku w tramwaju?)

Pisze Michniak, że wiele trzeba zachodu, aby „pęd ku kulturze stał się takim samym przyzwyczajeniem... jak spanie, jedzenie czy praca”. Zależy to od wielu. W dodatku trudne nie da owoców. Bowiem jedzenie i spanie nie jest przyzwyczajeniem. Dla zwykłego człowieka (wylaczając jogów

Nauka kultury? To brzmi dumnie...

hinduskich) jedzenie i spanie należy do konieczności. Do rzędu tych samych konieczności należy praca, mimo że znowu można by zauważyć, że wielu ludzi u nas pracuje „z przyzwyczajenia”.

Brzmie to nieco humorystycznie, ale warto wyciągnąć z tego pewną praktyczną naukę, której zresztą nie ja jestem odkrywcą: otóż człowiek najpierw zaspokaja to, co jest mu konieczne do życia. Kultura acz rzecz ważna, stoi na drugim miejscu. „Primum vive re...” A z tym „vivere” nie jest u nas najlepiej. Ogólnie biorąc, warunki życia wielu ludzi w Polsce są takie, że „na kulturę” nie wiele pozostaje czasu i funduszy. Wysoki poziom kultury cechował zawsze te społeczeństwa, które osiągnęły znaczny szczebel rozwoju ekonomicznego. To sprawa pierwsza i moim zdaniem, na tyle ważna, że nie można o niej zapominać przy omawianiu „braków kulturalnych społeczeństwa” zwłaszcza wtedy, kiedy t. zw. „konsumpcja dóbr kulturalnych” ma opierać się na...rentowności.

Z drugiej znowu strony trudno nie zgodzić się, że u nas, w naszej konkretnej sytuacji istnieje poważne niewykorzystywanie w pełni istniejących dla każdego możliwości „ukulturalniania się”. W kinach największa frekwencja cieszy się smirna i tania sensacja — narkotyk Michniak. Nie zawsze dobre filmy też cieszą się frekwencją, jeśli ich twórcy kłeczą je

myślą o t. zw. szarym widzu. Dowodem na to były przed wojną filmy Chaplina, były — i są nadal — dzieła René Claira. Podobnie w literaturze. Najbardziej poczytnym w t. zw. masach jest nie twórczość Michniak, lecz Sienkiewicz, Prus.

Czy publiczność specjalnie uwielbia szmire?

Nie byłbym tak tego pewny jak Michniak. Problem — moim zdaniem — wygląda inaczej. Kultura wymaga nieco dobrej woli, nieco wysiłku. Odrzućmy część widzów kinowych zapelnia sale kin w in-

dyskusje i polemiki

nym nieco celu — aby odpocząć. Odpocząć, pośmiać się, zobaczyć coś innego, niż w szarym, codziennym życiu, usłyszeć jak „szalejąca” gałęzina, nareszcie inne, palniste. A jeśli filmów które zaspokajałyby tego rodzaju widzów w sposób kulturalny jest bardzo, bardzo niewiele, co — pozostaje na placu szmire. I ona kształtuje gust.

Z teatrem podobna sprawa, choć tutaj wkraczamy w dziedzinę bardziej skomplikowaną. Do kina nie chodzić każdy — teatr wymaga pewnego przygotowania (podobnie jak muzyka poważna). I znowu ludzie nie lubią chodzić do tea-

tru — pisze Michniak. A nie lubią. Mogę dać słowo, że znam takich co lubili chodzić w Poznaniu do teatru. I to nie przed wojną, na ówczesnych „Jilmów i Julów”. A jeśli teraz chodzą rzadziej, to nie dlatego, że „lokale” naszych teatrów nie grzeszą „wielkością”. Sprawy teatrów nie rozwiąże Wydział Kwaternkowy. Rozwiązać je może teatr. Na razie jakoś — jak widać — nie może.

Nie jestem zwolennikiem zwalania winy na publiczność. Zwłaszcza w tak dużym skupisku, jak Poznań. Nie wystarczy klasie komuś do głowy: „człowiecze bądź kulturalny, na litość boską, bo to ładnie”. Trzeba umieć podnieść poziom kulturalny widza, skłonić go do bywania w teatrze, oglądania dobrych filmów, chodzenia na wystawy i koncerty, czytania wartościowych książek. Jak?

Sprawa skomplikowana i niełatwa. Z pewnością wymaga to dwóch rzeczy: długofalowej polityki kulturalnej i... czasu. Czas płynie sam. Natomiast politykę kulturalną trzeba kształtować umiejętnie i konsekwentnie. Mam wątpliwości, czy oświecenie mógłby ktoś odpowiedzieć na takie na przykład pytanie: jakie są kierunki (i możliwości) rozwoju kulturalnego w Poznaniu na okres najbliższych 3 lat.

*) myślę o warstwach najbardziej kulturalnie zacofanych.

Janusz BINIEK



Niejednokrotnie czytaliśmy o młodej i niezwykle utalentowanej poetce francuskiej Aimée Drouet. Wkrótce wystąpi ona w filmie (na zdjęciu — na koniu). Okazało się jednak, że mała Francuzka nie jest zjawiskiem odosobnionym. 11-letnia Gudrun Jacobsson ze Szwecji wydała niedawno pierwszy tomik swoich wierszy. Czy Gudrun (na zdjęciu drugim) zdobyła sławę swej francuskiej koleżanki — nie wiadomo. Nie wiadomo również, czy żyjemy w latach rzeczywiste obfitujących w młode talenty, czy tylko w okresie mody na „eudowne dzieci”...



A więc stało się — „Kaktus” ujrzał światło dzienne po raz pięćdziesiąty. Z tej okazji jubileuszowy numer wyszedł w zwiększonej objętości. M. in. znajdujemy w nim obrazek — przedstawiający posiedzenie kolegium redakcyjnego „Kaktusa” przy pracy. Z uwagi na wyjątkowo trafne uchwycenie tematu — reproduujemy powyżej ów rysunek, jak również rysunek J. Przybysza, noszący podpis „Bez podpisu” (u dołu). Resztę radzimy przeczytać i obejrzeć osobiście. (b)

Fizyka atomowa wyświetli zagadkę historyczną z epoki Renesansu

Nauka atomowa ma dać w najbliższych dniach odpowiedź, czy Eryk XIV — król szwedzki z końca szesnastego wieku — został otruty zupą grochową z boczkiem, czy też umarł na wrzód żołądka. Historycy nie są bowiem tego faktu pewni.

Eryk XIV był synem Gustawa Wazy. Urodził się z krwawymi plamami na rękach, co poczytywano za bardzo złą wróżbę. W młodości odebrał gruntowne wykształcenie — wspólnie z przyrodnim bratem, późniejszym królem Janem III.

Przyjaciele i stronnicy widzieli w Eryku, który wstąpił na tron jako 28-letni młodzieniec, mądrego, pogodnego władcę, ogrodnika, zapalonego myśliwego i chętnego do wszelkich turniejów atletycznych, tak częstych na renesansowych dworach. Jako mąż stanu miał być, według tych świadectw, królem dbającym o handel, przemysł, o chłopów — i dobrym organizatorem obrony kraju.

Przeciwnicy i współcześni Erykowi XIV historycy zarzucali mu pozbawioną skrupułów tyranie, gotowość do zamordowania każdego przeciwnika politycznego. Zdarzył się w Szwecji osamotniony. Ubiegał się o rękę Elżbiety angielskiej. Marii Stuart i wielu innych księżniczek europejskich — lecz bez skutku. Wszędzie spotykała go odmowa. Na złość arystokratycznej opinii publicznej ożenił się więc z córką własnego parobka stajennego — Karin Mandsdotter, którą kazał ukoronować.

Nigdy nie jest za późno...

— tak może o sobie powiedzieć ta ubrana w piękną, białą suknię ślubną panna młoda. Jej oblubieniec liczy sobie 68 lat, ale ze zdjęcia widać, że p. Humphrey Walker — mimo wszystko — jest taki „niczego sobie”. Najdziwniejsze jest jednak, że jego partnerka p. Isabel Pratt jest od niego o 6 lat starsza!

Gdy zdecydowała się wyjść za mąż za p. Walkera — przyjaciółki odradzały jej urządzenie wielkiego wesela. Odrzuciła jednak z oburzeniem takie niecne propozycje.

„Pięćdziesiąt lat czekałam na ten dzień i cieszyłam się na wielką uroczystość weselną — oświadczyła twardo. Dlatego wezmę ślub w białym, prawidłowym ślubnym stroju narzeczonej. Z welonem, oczywiście.”

Tak więc można znaleźć potwierdzenie słów piosenki, że „nigdy nie jest za późno”. Gdzie państwo młodzi spędzili swój miodowy miesiąc — brak nam informacji.

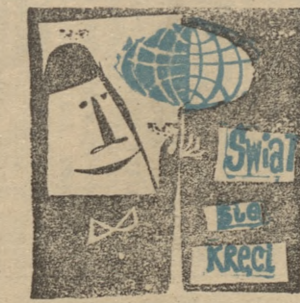
Księcia fińskiego, wspomnianego już przyrodniego brata, Jana III pokonał w bitwie i wtrącił do więzienia wraz z żoną, siostrą naszego króla — Zygmunta Augusta. Później podpisał układ z Iwanem Groźnym, że siostrę polskiego króla wydał w ręce cara. Jan III jednak wyostał się z więzienia i w 1568 roku, „aby uchronić kraj od skutków zamoczenia umysłowego Eryka” — zdeponował go i zamknął w zamku Örbyhus pod strażą czterdziestu zbrojnych pachołków. Nowy król obawiał się jednak powstania chłopów i straż rozkazał, by w razie groźby uwolnienia króla Eryka XIV przez rebeliantów — więźnia zgładzono.

Czy taki rozkaz Jana III został przez doradcę i lekarza przybocznego nazwiskiem Philipp Kern — wykonany? Nie wiadomo. W każdym razie świadkowie naoczni twierdzą, że Eryk XIV miał objawy zatrucia arszenikiem. W dokumentach w Örbyhus zachowały się dzienniki pomocy udzielonej przez zamkowego medyka; brak w nich jakiegokolwiek wzmianki o leczeniu Eryka.

Czy więc zjadł zupę grochową z boczkiem i trucizną? Tajemnicę śmierci zmarłego króla odkryją szwedzcy uczeni — badając „atomowo” jego kości. (jL)



Przykład



Skąd my to znamy?

Do komisariatu policji w mieście Treport (USA) zgłosił się p. Herbert Lomb w stroju Adama. Zdumionym stróżom porządku publicznego oświadczył, że padł ofiarą czterech młodocianych rabusiów, którzy rozebrali go doszczętnie, zabierając nawet sztuczną szczękę.

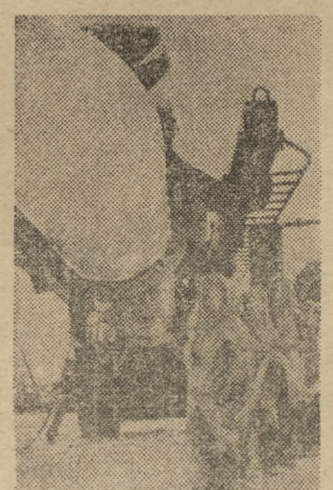
Mowa

W miejscowości Johnston odbył się pogrzeb pastora amerykańskiego. Po oddaniu zmarłemu ostatniej przysługi zebra-



Kaczor, który lubi piwo i w miły sposób zagaduje gości, jest niewątpliwie dużą atrakcją restauracji Maurice w Aleksandrii (USA), stan Wirginia.

Fot. — CAF



Grupa specjalistów przygotowuje pocisk balistyczny, podczas pokazu dla telewizji amerykańskiej w ośrodku badań w El Paso — w Teksasie.

ni wysłuchali jego własnej mowy pogrzebowej, którą duchowny nagrał przed śmiercią na taśmę magnetofonową.

Kobieta, puchu(?)

Paryski „Klub Tęgich Pań” przyjął w poczet swych członków pięćdziesięcioletnią kobietę. Z tej okazji przewodnicząca klubu p. Gadon-Perrier, ważąca 198 kilo, podała do publicznej wiadomości, że „łączny ciężar zrzeszenia” wynosi 135 ton. (mz)

Smacznego

Kobiety sprzątające kino Giant-Lunacineria w Nowym Jorku, każdą noc wynoszą ze śmieciami 25 kg gumy do żucia. Kino to posiada 6500 miejsc.

Alarmowa teczka

W Londynie skonstruowano specjalną teczkę do przewożenia pieniędzy przez listonoszy i gońców bankowych. Teczka przy otwarciu zamka przez

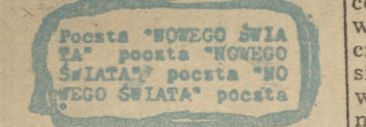
osobę niepowołaną, wydaje nuty (na zdjęciu) postanowił nadrobić zaległości — i wymyślił taką oto fryzurę. Kto chce, niechaj go naśladowuje... (b)

Wymyślił

Była już suknia „à la Sputnik”, dlaczego by więc panowie mieli być gorsi? Amerykański marynarz Robert Ve-



Fot. — NBI



Marian Osiecki. — Poznań. Reguły międzynarodowego zapisu brydżowego podamy w jednym z najbliższych numerów „N. Świata”.

Jerzy Zuzek. — Wolsztyn. Nie wiemy, o który konkurs Panu chodzi...

Janusz Cegielski. — Poznań. — Dziękujemy za list. Przekazujemy go autorowi felietonu o pomnikach, którym jednak nie jest prof. Ulatowski.

Michał Baran. — Stajkowo. Mam wiadomość o poszukiwanej przez Pana książce. Jak nam donosi ob. W. Hempowicz z Poznania, można ją wypożyczyć w Bibliotece Miejskiej w Sulmierzicach, pow. Krotoszyński, gdzie urodził się jej autor, S. Klonowicz. P. Hempowiczowi dziękujemy w imieniu p. Barana.

Wszystkim Czytelnikom, którzy nadesłali swe uwagi w związku z ankietą „Oceniamy „Nowy Świat” — po terminie, przewidzianym ankietą — serdecznie dziękujemy.

NEGATYWNE „BEZ ATU”

Nasz partner licytuje kiery. Kontrapartner z prawej strony pasuje Co począć, jeśli posiadamy nast. kartę:

D, 10, 3 — W, 8 — W, 10, 4, 2 — D, 7, 5, 3?

Wielu brydżystów jest zdania, że z taką kartą należy pasować. Tymczasem w rozgrywce bardzo często okazuje się, że nawet przy tak słabej pomocy partner „robi” wysoką grę. „Dobrze” — powiedzą opo- nenci. — „Ale przecież o tym nie można z góry wiedzieć!” Słusznie. Z drugiej znów strony w brydżu, jak w każdej grze, trzeba umieć zdobyć się na pewne ryzyko.



Dziś — kolej na literę „I”. A więc:

IGRZYNA w powiecie opornickim — chyba od igrzów, czyli kuglarzy i żartowniów.

ILOWIEC w powiecie średzkim. Słownik polsko-laciński-grecki — S. Knapkiego z roku 1621 iem nazywa „przyrodzoną wilgoć ziemi, moczar”.

IMIELNO (powiat Gniezno) w roku 1253 doczekało się „dzieci i „wnuków” w postaci: Imielenka, Imiołkowa, Imiołek. Samo zaś przypuszczalnie wywodzi się od wyrazu „mieć” (dzisiejszego „mieć”), czyli oznacza posiadłość. Zresztą nie jestem pewien tego rodowodu.

IWNO — (powiat Środa) ma już ponad 600 lat. Musiał tu kiedyś rosnąć „iwy” — po naszymu wierzyby.

3 IZDEBNA (powiaty: średzki, międzychodzki i koniński) przypominają nam, że raz w tygodniu około niedzieli należy się... kąpać. Bo przed tysiącem lat „izdbą” podobno nazywano łaźnię, którą miało Wten czas każde szanujące się osiedle (a dziś?). Ładne to słowo doczekało się awansu. Później oznaczało wiejskie pomieszczenie mieszkalne, potem przeszło w szereg poważnych instytucji, jak Izba Skarbowa, Izba Przemysłowa, Izba Rzemieślnicza, a także Najwyższa Izba Kontroli.

IWANOWICE — ongiś miasteczko kapituły łowickiej w powiecie kaliskim. Przytoczmy wyjątek z Inwentarza spisane-go w roku 1726.

„Do zamku murowanego idąc, most wąski na przekopie, nie bardzo dobry, z którego mostu o kilkanaście kroków wejście do zamku na kopcu stojącego...”

Był tam i browar i 4 karczmy celem „życziwego” rozpijania ludzi. I 16 „mieszczanek okupnych”, co to jajka, kapłony i owiecz do dworu oddają i w żniwach pomagają. 15 „mieszczanek” 2 dni w tygodniu dodatkowo „bydłem robiło”, 7 zaś „robiło pieszo”. Największą pańszczyzną odrabiali dla wielebnej Kapituły „podmieszczanie”. (jp)



BOHATERKA ROMANTYCZNEJ MIŁOŚCI

Oto piękna aktorka angielska — Belinda Lee. Jak doniosła prasa, aktorka oraz jej ukochany, arystokrata włoski, ksią żę Filip Orsini, targnęli się na swoje życie z powodu beznadziejnej miłości (oboje są związani węzłami małżeńskimi). Sprawa ta nabrała w Rzymie wielkiego rozgłosu.

Fot. — CAF



Bez słów

Rozwiązanie krzyżówki z poprzedniego numeru „Nowego Świata” zamieścimy za tydzień razem z nową krzyżówką.

no. Ale gdy nie mamy żadnego zapisu cząstkowego?

Zdaniem naszym — a także wielu innych graczy — najbardziej celową będzie w takim wypadku odpowiedź negatywna: „I bez atu”. Odpowiedź taka mówi naszemu partnerowi o sile karty, i prawie zmusza go do zaliczowania 2 kierów, co przy przeciętnych rozkładach — powinien wygrać.

A zatem — radzimy nie pasować, zwłaszcza po partii. Przed partią bowiem różnica 8 p. nie ma praktycznie wielkiego znaczenia.

Jesli rzeczywiście posiadamy pomoc bezatutową, na przykład: Kwx — xx — D10xx — Axxx licytujemy wówczas 2 bez atu.